

Kieniewicz, Stefan / Michalski, Jerzy

Klejnot i bariery społeczne : (na marginesie książki Jerzego Jedlickiego, Klejnot i bariery społeczne, Warszawa 1968)

Przegląd Historyczny 61/1, 120-130

1970

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

JERZY MICHALSKI, STEFAN KIENIEWICZ

Klejnot i bariery społeczne

(na marginesie książki Jerzego Jedlickiego, „Klejnot i bariery społeczne”, Warszawa 1968, PWN, s. 469)

Uwagi niniejsze odnoszą się do pierwszej części pracy, zatytułowanej „Od demokracji szlacheckiej do obywatelstwa cenzusowego 1764—1814”. Ograniczenie to tłumaczy się nie tylko niekompetencją recenzenta w sprawach stanowiących tematykę części drugiej, ale i odrębnością części pierwszej, która początkowo pomyślana, jak pisze autor, jako „zwięzłe i kompilacyjne raczej wprowadzenie” (s. 7) przekształca się częściowo w monograficzne opracowanie niektórych wybranych zagadnień. Autor następująco określał rzeczowy zakres podjętej przez siebie tematyki: „nie zamierzałem ani przez chwilę napisać pracy o losach szlachty polskiej na przestrzeni stulecia 1764—1863. Przedmiotem rozważań jest tu tylko szlachectwo jako ugruntowany w prawie oraz w nawykach społecznego obcowania sposób różnicowania zbiorowości ... Jest to rozprawa z pogranicza historii ustroju, historii mentalności i historii struktur społecznych. Uchyliłem się natomiast od szacunków demograficzno-statystycznych ... Przedmiotem obserwacji jest tu głównie stosunek, jaki w różnych okresach zachodził między szlachectwem a układem warstw i barier społecznych, ... także emocje i aspiracje jakie klejnot szlachecki wzbudzał w różnych środowiskach” (s. 8—9).

Zakres chronologiczny podany został w tytule. Wyboru daty początkowej autor specjalnie nie uzasadnia, uznając ją, nie bez słuszności, za oczywistą. Niewątpliwie chodzi mu o to, że jak pisze, „proces rozpadu tradycyjnego układu stanowego rozpoczął się na długo przed Sejmem Czteroletnim” (s. 7). Nie ma potrzeby przypominać, autor zdaje sobie doskonale z tego sprawę, że przy tego rodzaju tematyce data roczna jako granica ma charakter umowny i wartość przybliżoną.

Autor wyjaśnia, że problematykę okresu od konstytucji 3 Maja do 1814 r. omawia w zasadzie w oparciu o literaturę przedmiotu, natomiast dla okresu wcześniejszego, jako słabiej opracowanego, podjął własne badania źródłowe. Kwerenda, choć daleka od pełności, w zakresie jednak paru wybranych zagadnień („teren rywalizacji szlachty i nieszlachty, nobilitacje, problem tych odłamów szlachty, które zostały zagrożone wyłączeniem ze stanowej wspólnoty”), jest na tyle dostateczna, by przy interesującej i bystrzej interpretacji praca stanowiła cenny wkład naukowy.

Autor słusznie przypomina wewnętrzne zróżnicowanie poszczególnych stanów, powodujące że wewnętrzne bariery w danym stanie nieraz mogły być trudniejsze do przekroczenia niż bariery międzystanowe, oraz wynikający ze zróżnicowania tego fakt, że hierarchia majątkowa, społeczna i kulturalna nie pokrywała się z hierarchią stanową. Ta ostatnia zdaniem autora najbardziej zaznaczała się przy maximach stanowych, najmniejszą rolę grała przy minimach. „Efektywność ochrony granic międzystanowych rosła w miarę posuwania się ku górze drabiny hierarchicznej” (s. 26). Autor wymienia względną łatwość awansu stanowego poddanych chłopów do miejskiego plebsu, czy mieszczan podających się za drobną szlachtę. Można by tu było również wskazać na wypadki dezawansu stanowego, powodowane chęcią

poprawienia pozycji materialnej: przyjmowanie poddaństwa przez ludzi wolnych, czy też prawa miejskiego lub zajęć stanowiących *abusus nobilitatis* przez uboższą szlachtę. O tym ostatnim wypadku autor wspomina przy innej okazji (s. 67), zaznaczając, że „zagadnienia utraty szlachectwa ledwie tutaj dotykam, jest ono zbyt pojemne, mało opracowane...”.

Analizując pierwsze z wybranych zagadnień: „tereny rywalizacji szlachty i nieszlachty” autor twierdzi, że „napór awansujących grup mieszczaństwa był oczywiście w porównaniu z Zachodem słaby, ale rósł wyraźnie w okresie stanisławowskim wraz z postępem gospodarczym i postęпами Oświecenia” (s. 28). Tu jednak wypada zaznaczyć, że w dalszych wywodach nie pokazuje oddziaływania tych dwóch czynników. Autor słusznie podkreśla, że „zwarcie interesów na granicy międzystanowej” intensyfikowało się dzięki trwającej stale ofensywie szlachty starającej się rozszerzyć swój monopol stanowisk i dziedzin gospodarczej działalności. Tu autor cytuje liczne głosy instrukcji sejmikowych. Źródło to oczywiście informuje o świadomości i dążeniach, a pośrednio jedynie o ówczesnej rzeczywistości. Gdy zaś chodzi o nią, to bardzo interesujące jest powtórzone za pracą St. Litaka stwierdzenie coraz bardziej rozszerzającego się w XVIII w. procentu szlachty w obsadzie stanowisk proboszczów, a nawet wśród kleru wikarialnego. Obszernie omawia autor zagadnienie wojska, idąc tu za badaniami Rostworowskiego. Uwagę jego skupia przede wszystkim skonstatowany przez tego badacza problem „przeludnienia” i „bezrobocia” szlacheckiego. W zasadzie te wywody są przekonujące, wydaje się jednak, iż wyłączenie z pola obserwacji niektórych spraw powoduje pewne wyolbrzymianie zjawiska szlachecko-mieszczańskiej konkurencji. A więc pierwsze tam, gdzie mowa o konkurencji — czy też potencjalnej konkurencji w dziedzinie handlu, nie można zapominać, że mieszczenie za głównego swego konkurenta uważali Żydów i że największa sprzeczność interesów szlachecko-mieszczańskich wynikała tu z popierania przez magnaterię i bogatą szlachtę handlu żydowskiego, a nie z wdzierania się do miast przekupniów szlacheckiego pochodzenia. Odcinek stosunkowo najbardziej niewralgiczny stanowiła propinacja (w tym zakresie prawo 1775 r. miało pewne praktyczne znaczenie), ale zagadnienie to należy przede wszystkim do pominiętego w rozważaniach kompleksu stosunku między starostami a miastami, a w praktyce i tu na czoło wysuwała się konkurencja mieszczańsko-żydowska. Jak sam zaś autor zauważył, tam gdzie szlachta istotnie zaangażowana była w działalność handlową, jej konkurentem nie byli kupcy mieszczańscy lecz żydowscy. Gdy chodzi zaś o współzawodnictwo w dostępie do nielicznych posad urzędniczych czy szarż wojskowych, to istotnymi rywalami szlachty byli nie tyle rodzimi plebeje, co cudzoziemcy.

Wiąże się to z za mało, jak mi się wydaje, uwytatnionym w pracy zagadnieniem braku przygotowania szlachty do wykonywania zajęć wymagających fachowych kwalifikacji. Zresztą autor pomija milczeniem problem, jak wyglądały kwalifikacje te u mieszczańskich aspirantów. Do spraw tych wypadnie jeszcze w recenzji powrócić. Jeśli zaś chodzi o szczupłość armii polskiej powodującą „bezrobocie” szlacheckie, to wydaje mi się, że problem ten nie jest tak prosty, jak można go odczytać ze współczesnych źródeł postulujących aukcję wojska. Jak słusznie podkreśla autor, „wojsko stanowiło obok starostw jedno z głównych źródeł chleba dobrze zasłużonych”, toteż do synekur wojskowych, do których przy ówczesnym stanie organizacyjnym armii należał duży procent miejsc w polskim autoramencie, było bardzo wielu kandydatów. Natomiast szlachta polska, mimo swej, odbijającej od europejskiej przeciętnej, liczebności nie stanowiła rezerwaru sił wojskowych. Choć w zakresie tym nie rozporządzamy żadnymi badaniami, wydaje się, że służba wojskowa szlachty polskiej za granicą w żadnym wypadku nie była zjawiskiem masowym. Na rynku werbowniczym, jeśli chodzi o jazdę, liczyli się głównie Tatarzy litewscy, a więc grupa stosunkowo niewielka (choć pamiętać trzeba, że for-

macje tatarskie nie składały się w 100% z Tatarów). Wojsko konfederacji barskiej było w znacznym stopniu plebejskie i zasilano się werbunkiem cudzoziemców.

Omawiając zagadnienie nobilitacji i indygenatów autor trafnie wskazuje na trudności w stworzeniu skutecznych barier przeciw uzurpacji klejnotu szlacheckiego wobec niechęci szlachty do rygorów urzędowych kontroli, interesująco wykazuje podjęte w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta próby wprowadzenia czegoś w rodzaju ksiąg ewidencyjnych szlachty w województwach i ziemiach, trafnie utrzymuje, polemizując ze Smoleńskim, iż wymaganie nabycia określonej wartości posesji ziemskich przez nowo nobilitowanych miało w pojęciu szlachty służyć za barierę antynobilitacyjną, a nie świadczyło o odrzuceniu przesądów stanowych na rzecz uznania dla „pieniądza”, słusznie przypominając, że pieniądź zawsze był ceniony (s. 101). Sam jednak wypowiada sąd nieco zaskakujący. Píše mianowicie: „W prawie i ideologii przywilej stanowy zajmował wciąż miejsce suwerenne: ataki supliki torczyńskiej, drwiny księdza Jezierskiego i książki francuskie niewiele mu w istocie zaszkodziły. Ale życie po cichu zaczynało już premiować energię, spryt i kompetencje, na które stan szlachecki nie miał monopoli, a które przy umiejętnym użyciu i przywilej przyznawały w nagrodę” (s. 98). Książki francuskie, a więc cała ideologia Oświecenia (ks. Jezierski z nich się wywodził), została tu chyba zbyt kategorycznie zlekceważona. Jeszcze mniej zrozumiałe jest, dlaczego właśnie w XVIII w. spryt i energia miały być szczególnie premiowane; myślę, że cechy te przynosiły powodzenie we wszystkich epokach, zmieniały się tylko pola działania. Do tego autor jako przykład „o randze symbolu” przytacza nobilitowanie za zasługi w urzędowaniu sekretarza pieczęci koronnej Sikorskich. Przecież to arcytradycyjna droga do uszlachcenia.

Najwięcej miejsca poświęcił autor omówieniu masowych nobilitacji dokonanych przez sejm czteroletni na schyłku pierwszej kadencji. Autor słusznie odrzucił dotychczasowe sądy badaczy sugerujących się opiniami współczesnej publicystyki, a zwłaszcza przypisywanego Franciszkowi Salezemu Jezierskiemu pisma „Głos na przedce do stanu miejskiego” i przyjrząwszy się dokładnie obradom sejmowym (autor przypominał, że na chaotyczny ich przebieg i przypadkowość uchwał wskazywał już Kalinka), wykluczył istnienie jakiegos jednolitego ośrodka politycznego świadomie dążącego do masowych nobilitacji mieszczan, tym bardziej zaś jakichś machiawelistycznych celów tychże nobilitacji, choć również słusznie stwierdził, że „nie można wykluczyć, że ten i ów senator czy poseł rekomendując do szlachectwa przywódców miejskich widział w tym środek profilaktyczny”. Obiektywny rezultat masowych uszlachceń autor charakteryzuje następująco: „Nobilitacje... redukowały... do możliwego w ówczesnych warunkach minimum wartości i znaczenie największej dystynkcji stanowej... W tym właśnie że nobilitowano bez braku, bez wyboru, że rozmach akcji nadała w sporej mierze prywatata, że ilość przeszła w bylejakosć — upatrywałbym znaczenie tej roboty, której trzy dziesiątki obywateli litewskich i dziesiątka koronnych [autor skonstatował minimalną ilość uczestników obrad sejmowych w listopadzie 1790 r.]... dokonały w listopadzie 1790 r. podważając dość skutecznie moralno-ideowe zasady, na jakich opierała się tradycyjna wspólnota stanu rycerskiego... Listopadowe nobilitacje, takie jakie były ze wszystkich stron wystawione na sztychy krytyki, utorowały drogę prawu o miastach i zwiększały szanse demokratyzacji społecznej struktury” (s. 132—133).

Rozdział „Pospólstwo ludzi wolnych” poświęcił autor problemowi ograniczenia praw politycznych niektórych kategorii szlachty. Przypominając, że problem to dawny, że w XVII w. znamy próby usunięcia z sejmików szlachty gołoty i że próby te podjęto na nowo w początkach panowania Stanisława Augusta, autor analizuje znane postanowienie sejmu 1767/68 r. regulujące (na papierze) skład sejmików. Wychodzi ze słusznego założenia że „warte zachodu jest nie tylko demaskowanie sejmowych i publicystycznych frazesów i odsłanianie kryjącej się za nimi nagiej gry

politycznych czy gospodarczych interesów. Wart uwagi bywa także sam frazes jako przejaw kultury i odzwierciedlenie społecznej mentalności". Stąd we wspomnianym postanowieniu autor widzi nie tylko wynik określonych interesów politycznych, ale wyraz głębszego zjawiska — zasadniczej chwiejności „sarmackiej doktryny społecznej” w sprawie traktowania szlacheckiego „pospólstwa”. Posesoryjny warunek praw obywatelskich ... trafiał zwykle na podatny grunt psychologiczny wśród szlachty dobrze osiadłej i motłochem gardzącej. Ale zbyt radykalne wersje tego warunku budziły niepokój. Konsekwentne odepchnięcie nieposesjonatów od obywatelstwa rozerwałyby spójnie rodowe i nawet rodzinne, więzy klienteli, hierarchie autorytetów. Sprowadzając szlachectwo nieobywatelskie do próżnego tytułu podawałoby w wątpliwość podstawową zasadę, na której opierały się przywileje także i braci „większej” (s. 142—143). Myślę, że na sprawę tę należałoby spojrzeć i od strony samej taktyki sejmikowej. Gołota szlachecka nie była przecież, jak to się potocznie przyjmuje, wyłącznie magnackim narzędziem na sejmiku. Takim narzędziem była przede wszystkim tzw. szlachta czynszowa, która działała z bezpośredniego nakazu magnata i pod kierunkiem jego oficjalistów. Natomiast inne kategorie nieposesjonatów czy też drobnych posesjonatów (zagrożonych również tendencjami ekskluzywistycznymi), jeśli wysługiwały się magnatom, to pośrednikiem byli wtedy najczęściej różni matadorzy i demagodzy powiatowi, rekrutujący się ze szlachty średniej. Na tych sejmikach, gdzie wpływy magnackie nie sięgały, matadorzy ci działając na własny rachunek też potrzebowali głosów i szabel swych ubogich „współbraci”.

Autor, rozważając przyczyny ekskluzywistycznych tendencji szlachty ziemiańskiej, obok głównego motywu, jakim była chęć złamania preponderancji magnackiej, zwraca uwagę również na wewnątrzstanową „walkę konkurencyjną, wywołaną szczupłością perspektyw awansowych”. W innym zaś miejscu pisze: „szczupłość placu i funduszu działała przeciwko szlacheckiemu demokratyzmowi”, jako dowód cytuje skargę z instrukcji sieradzkiej z 1766 r., „iż królewszczyzny, krzesła i urzędy impossesionati w województwie biorą, a zasługi laty wypracowane powinny nie mogą się doczekać stopnia”, zwracając uwagę na „opozycję pojęciową: nieposesjonaci — zasłużeni. Tylko ... posesjonat — pisze autor — mógł «służyć obywatelom», tylko on więc mógł aspirować do chleba zasłużonych... Ale w niedalekiej przyszłości, kiedy potoczne pojmowanie zasług dla ojczyzny ulegnie przecież znacznemu rozszerzeniu, raz uformowana zbitka pojęciowa będzie godzić bezlitośnie w szlachecki drobiazg «bez zasług»” (s. 144—145). Rozumowanie to wydaje się dość sztuczne, ale przede wszystkim sam punkt wyjścia jest nieporozumieniem, dość dziwnym u autora, na ogół bardzo precyzyjnie operującego pojęciami. Przecież skarga sieradzan nie kierowała się przeciw nieposesjonatom, ale przeciw posesjonatom z innych województw i to możliwym, bo osiągniętym krzesła senatorskie i królewszczyzny. Żeby udowodnić tezę o konkurencji o „plac i fundusz” między posesjonatami a nieposesjonatami należałoby wynaleźć skargi na nadawanie urzędów, wójtostw itp. szlachcie bez posesji. Przyznaję, że nigdy się z takimi skargami nie spotkałem. Gdy chodzi zaś o antagonizmy wewnątrz stanu szlacheckiego na tle ekonomicznym, to dopatrzeć by się ich chyba można między „dziejczami” a „kapitałistami”. Antagonizm ten, sygnalizowany przez niektóre głosy ówczesnej publicystyki, wpłynął na tendencję ograniczenia praw politycznych posesorów niedziejcznych: zastawników, dzierżawców. Proponowałbym więc pewną poprawkę w twierdzeniu tłumaczącym tendencję tę wyłącznie wpływem wiekowych nawyków myślowych. Autor bowiem pisze: „Posłowie Sejmu Czteroletniego, debatując nad prawami stanów, wiedzieli doskonale, że przeciwny szlachecki zastawnik czy kapitałista, a także niejedyn [wydaje mi się, że w obu wypadkach raczej: każdy] dzierżawca jest zamożniejszy od szlachcica przewracającego pługiem swoją zagonową ojcowiznę, nieraz nawet od takiego, który wysiewał więcej niż 10 korcy ziarna. Ale

posesja dziedziczna była od wieków jedynym powszechnie uznanym zabezpieczeniem odpowiedzialności i była ponadto wartością ideologiczną, częścią ojczyzny — a nie były taką wartością sumy kapitałowe” (s. 175).

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa pominięte przez autora czynniki (choć nie odgrywające zbyt dużej roli), wpływające na tendencję odebrania dołom szlacheckim praw politycznych. Pierwszy to względ na sprawność sejmiku, trudną do utrzymania, gdy gromadziło się na nim zbyt wielu uczestników. Sama niesłychanie powolna technika „kreskowania się” powodowała, że na tłumnym sejmiku trwało ono nieraz parę dni, powodując zamieszanie, nadużycia i znużenie uczestników. Drugi czynnik upatrywałbym w pogłębieniu się różnic poziomu kulturalnego i obyczajów między zamożną szlachtą a ubogim drobiazgiem w okresie Oświecenia. „Światło wieku”, postęp, nowe wzorce obyczajowe łączyły się z elitarnością szkół. Idee wieku głoszone przez „Francuzów wymownych” uczyły, że „ludzie są równi”, że mieszczenie i chłopci to „stany najużyteczniejsze”, ale to nie pociągało takich skutków praktycznych, jakie wynikałyby ze stosowania egalitaryzmu na terenie szlacheckim. Pamiętniki Stanisława Augusta zawierają szczerze wyznania, jakie męski cierpiał kulturalny człowiek w zetknięciu ze szlachecką prowincją. Tu chodziło wprawdzie o magnata i średnią szlachtę, ale były to lata pięćdziesiąte XVIII w. W miarę czasu dysproporcje pojawiały się na niższych piętach. Literatura Oświecenia idealizowała „pocziwego kmiotka”, a z satyrycznym realizmem malowała Guronosów. Wprawdzie po I rozbiórce, a zwłaszcza w przededniu i początkach Sejmu Czteroletniego, można obserwować kontrofensywę sarmatyzmu, ale ten nawrót do kontusza i wąsów był zjawiskiem dość powierzchownym.

Analiza sejmowej i publicystycznej debaty nad ustawą o sejmikach ustalającą, jakie kategorie szlachty mają z nich zostać wyłączone, jakkolwiek mogła być jeszcze źródłowo pogłębiona, jest wartościowym osiągnięciem. Myślę, że w analizie tej należałoby większą może uwagę zwrócić na terytorialne aspekty całej tej sprawy. Przytaczane przez autora wypowiedzi współczesne wyraźnie ten problem sygnalizują. Nie jest winą autora, że po dawnemu nie wiemy, jaki był faktyczny efekt uchwały sejmowej, ilu szlachty utraciło prawa polityczne, jak przyjęli oni ten fakt, oraz jakie zwiastował on dla nich konsekwencje. Autor uznaje konsekwencje te za poważne. „Dla szlacheckiej wspólnoty był to moment zwrotny. Od tej pory nędzne potomki rycerzów... nie mogły oczekiwać względu, protekcji i honoru od rodzącej się ojczyzny właścicieli nieruchomości” (s. 182). Mniejsza o to, że twierdzenie to pozostaje w pewnej sprzeczności z sugestjami autora wyrażonymi w następnym rozdziale. Ważniejsze wydaje się to, że o sytuacji szlachty objętej wykluczeniem od sejmików decydowały względy ekonomiczne. Czy pozbawienie możliwości ciągnięcia korzyści, przeciętnie raz na rok, ze swych uprawnień „obywatelskich” zmieniało w sposób istotny możliwości życiowe tej kategorii ludzi, którzy przecież musieli je opierać na czymś konkretniejszym i których związki z wyższymi grupami szlachty nie sprowadzały się tylko do owych rzadkich okazji sejmikowych? Sam autor zresztą we wstępnych rozważaniach bardzo nisko szacuje realną korzyść, jaką czerpała szlachta zależna ze swej prerogatywy obywatelskiej (s. 21). Jeśli zaś chodzi o skutki ideologiczne owego „pogardliwego odepchnięcia szlacheckiego plebsu”, to przecież sam autor wielokrotnie przypominał, że bardzo silna tendencja w tym kierunku istniała (a nawet bywała wprowadzana w życie) od stu lat z okładem. Nie było to więc jakimś trzęsieniem ziemi w dotychczasowym świecie pojęć szlacheckich.

Wypada wreszcie wysunąć pewne wątpliwości co do twierdzenia wyrażonego w zdaniu następującym po wyżej zacytowanym: „Ojczyzna ta miała im jednakże ofiarować coś w zamian: narodziny państwa z licznym regularnym wojskiem, ze szkołami i biurami rządowymi, państwa, które z synów sejmikowych rębaczy, zaściankowych waćpanów, dworskich lokajów i ekonomów zrobiłoby żołnierzy, bu-

chalterów i nauczycieli" (s. 182, podobnie s. 220). Oczywiście, upadek Rzeczypospolitej uderzył szczególnie w drobniarz szlachecki, który nie pasował do stosunków społecznych i norm prawnych państw zaborczych. Choć z drugiej strony, jak się zdaje, nowe stosunki sprzyjały zwiększaniu się własności dziedziczonej kosztem tak bardzo rozpowszechnionych przed rozbiorami posesji zastawnych, „tradycyjnych”, dzierżawnych. Ale to inna sprawa. Chodzi o „plac i fundusz” poza rolę. Najmniej wątpliwości budzi wojsko (choć przymus służby zastosowany przez państwa rozbiorcze odczuty był jako dotkliwy skutek odjęcia prerogatyw szlacheckich), ale i ono, zwiększając dyscyplinę i wymagania wyszkoleniowe, nie dawało tego co dawny autorament polski. Ze szkołami sprawa nie była prosta. Działacze Komisji Edukacji Narodowej z Koliątąjem na czele tworzyli dziwaczny „stan nauczycielski”, mi to świecki ni to duchowny, a ustrój 3 Maja stawiając instytucjonalnie prymasa na czele zwierzchnictwa szkolnego nie zapowiadał łatwej drogi zeświecczeniu szkoły. Nie otwierało to szerokiach perspektyw dla karier nauczycielskich. Ważniejsze jednak było to, że po kasacji jezuitów i przejęciu szkół przez Komisję zmniejszyła się poważnie liczba uczniów. Zamierała instytucja „dyrektorów” i podobne drogi ułatwiające niegdyś kształcenie się uboższej szlachty. Państwowe szkolnictwo XIX wieku wprowadzić miało opłaty za naukę. Bez porównania łatwiej było więc być ekonomem, który to zawód bynajmniej nie zamierał, niż „buchalterem”. Przypomnijmy też, że na owych „buchalterskich posadach” w Księstwie Warszawskim trzymać nadal trzeba było urzędników pruskich wobec braku rodzimych kandydatów. Sądzę, że kreśląc potencjalne drogi awansu czy „przekwalifikowania się” tej szlachty, którą prawo 1791 r. odsunęło od sejmików, trzeba wyjść od poznania realnej sytuacji różnych jej grup, ich liczebności, terytorialnego rozmieszczenia. Bez tego skazani jesteśmy na dość niebezpieczne spekulacje. Kontynuując je jednak ryzykowałbym opinię, że autor nie docenił perspektyw „właszczeniowych” dla niektórych kategorii tej szlachty, zbyt kategorycznie formułując alternatywę (dla całej zresztą szlachty) — iść na „posady” albo „gęściej dzielić wsie” (s. 65—66). A przeciw perspektywy takie u schyłku XVIII w. stwarzała własność latyfundiarna, dobra kościelne, królewszczyzny, ekonomie. Oczywiście najlepiej skorzystał tu mogła szlachta zamożna, ale chyba też i pewne kategorie dotknięte prawem 1791 r.: mniejsi zastawnicy, dzierżawcy, oficjaliści. Autor zbyt pomniejsza, jak mi się zdaje, dorobkiewiczowskie możliwości tych kategorii szlachty (twierdzi, że takich dorobkiewiczów mogła być tylko garstka, s. 21), wychodząc z założenia, że „w gospodarce o skrajnie niskich możliwościach akumulacyjnych radykalne sforcowanie bariery posesjonalnej było rzeczą ogromnie trudną” (s. 24).

Do sprawy nobilitacji powraca autor w związku z perspektywami, jakże w tym zakresie ukazywało włączone do Konstytucji 3 Maja „prawo o miastach”. Charakterystykę tych perspektyw umieścił w rozdziale zatytułowanym „Obywatele i mieszkańcy”, gdzie punktem wyjścia jest analiza „koliątajowskiego modelu narodu”. Analiza ta, przy okazji której autor nie bez racji kwestionuje przypisywanie Koliątąjowi, jako autorowi „Listów”, idei demokratycznych, stanowi w zasadzie odejście od założenia, iż praca nie zajmuje się „filozofią społeczną” i „dysputami ideologicznymi”, lecz jedynie opiniami i postulatami szerszych kręgów społecznych. Autor uważa jednak, że koliątajowskie koncepcje mieszczą w sobie „podstawowe dylematy społeczno-ustrojowe, przed jakimi stawali wszyscy po kolei polscy i przyjezdni [termin ten nie wydaje się szczęśliwie dobrany — J. M.] prawodawcy od Sejmu Czteroletniego aż po kongres wiedeński” (s. 194). Autor widzi u Koliątąja sformułowanie dwóch programów zmiany dotychczasowego ustroju stanowego. Pierwszy, który Koliątąj uznawał za zgodny z naturą, polega na zastąpieniu historycznych stanów podziałem na właścicieli i nieposiadające „pospólstwo”. Koliątąj jednak, zdaniem autora rozumiał niemożność natychmiastowego realizowania „swojej wizji finalnej”, ale chciał ją urzeczywistnić „w sposób roztropny”. „Jeśli więc

model końcowy obywa się doskonale bez szlachectwa, to musiało ono znaleźć się nieodzwownie w modelu rozwojowym... przede wszystkim jako ścieżka, po której układ aktualny miał przejść w układ programowany" (s. 189). Należałoby więc dążyć do „doprowadzenia do zupełnej identyfikacji... prawa szlachectwa z prawem posesji”. Konsekwencją zaś tego byłoby odebranie klejnotu nieposesjonatom, automatyczne nobilitowanie każdego posesjonata, zaprzestanie nobilitowania nieposesjonatów. „W roku 1790 był to program nierealny” — pisze autor (s. 191). Wydaje się jednak, że Kołłątaj o takim programie nie myślał. Sam autor przypomina, że Kołłątaj stałe postulował nobilitację zasłużonych żołnierzy i nauczycieli (sądzą, że istotnie chodziło mu o tych ostatnich) a postulat ten, jak stwierdza, „przeciwi się założeniom własnej jego dyktryny”. Sądziłbym więc, że nie należy zbyt dużej wagi przykładać do owej „doktryny”. Kołłątaj, jako syn swojej epoki, lubił wyrozumowane systemy i starał się je wprowadzić do swoich „Listów”. Komentatorzy, dążący przede wszystkim do odczytania „doktryny”, skłonni są powiększać wagę tego elementu traktując przeciwności i odchylenia od systemu jako mniej istotne koncesje na rzecz praktycznych możliwości realizacji. Można jednak przyjąć inny punkt widzenia, i dostrzegać przede wszystkim to, co naprawdę Kołłątaj chciał zrealizować, a na drugim planie umieszczać doktrynalne motywacje i dorabiane rusztowania systemów, nie zapominając oczywiście, że Kołłątaj w wielu wypadkach robił to ze szczerym przekonaniem. Tak samo pamiętać trzeba o elementach retoryki i demagogii w „Listach”. Autor dużą wagę przywiązuje do ustępu „Prawa politycznego”, gdzie Kołłątaj pisze o „złotej księdze, w którą wpisane będą imiona wszystkich obywatelów, dotąd szlachectwem zaszczyconych” i do której wpisywani być mają nobilitowani i uzyskujący indygenat. Obok więc zgodnego z porządkiem „naturalnym” podziału na posiadających (cieszących się prawami obywatelskimi) i nieposiadających, Kołłątaj dopuszcza, jak pisze autor, „porządek drugi”. Porządek ten „to struktura konwencjonalna, przedłużająca dawny podział stanowy, ale zmieniająca jego znaczenie. Wyłania ona elitę prestiżową, elitę cnót, talentów i zasług i wpisuje ją w księgę złotą. Zachowując zaś *via facti* w swym składzie zubożałych dziedziców cnót rycerskich dawnych antenatów i odnawiając się przez akces zasług aktualnych, niekoniecznie popartych majątkiem... szlachectwo staje się ozdoba, szlachta upodabnia się do kongregacji kawalerów orderowych...” (s. 193—194). Wprawdzie w dalszej przyszłości szlachectwo stać się miało „ozdobą” bez większego praktycznego znaczenia, nie sądzą jednak, by Kołłątaj miał zamiar w ustępie o „złotej księdze” ukazywać taki właśnie kierunek. W ustępie tym widziałbym malowniczość, którą Kołłątaj umieścił dla uradowania oczu szlacheckich, drażnionych innymi wywodami jego pism. Nie zapomniał zaznaczyć, że księga będzie „pod strażą i dozorem marszałka stanu pierwszego” w czasie sejmu, a w czasie międzysejmowym „pod kluczami kanclerzów narodowych”, ale nie zatroszczył się, aby wyjaśnić, jak dokona się spisu całej szlachty w Polsce i jak będzie się aktualizowało „złotą księgę”. Widać stąd, że do całego pomysłu nie przywiązywał większego znaczenia. Nie otwierał też szeroko drzwi do nobilitacji, przewidując je oprócz tradycyjnych zasług wojennych jedynie dla nauczycieli, dla osób wślawionych „przez nadzwyczajny wynalazek lub dzieło, z którego dla dobra powszechnego znaczne wyniknąć mogą korzyści”. Ten ostatni przypadek można by było wprawdzie interpretować rozciągliwie, nie wydaje się jednak, aby Kołłątaj umyślnie tworzył taką furtkę. Ważne było natomiast pozostawienie wyłącznej decyzji w sprawach nobilitacji izbie wyższej (szlacheckiej). Nie sądziłbym więc, aby u Kołłątaja już w tym okresie można dostrzec sformułowanej perspektywy przekształcenia instytucji szlachectwa przez maksymalne jego udostępnienie. Skonstatowana przez Rostworowskiego inicjatywa Kołłątaja w szerokim dopuszczeniu mieszczan do szlachectwa, przewidzianym przez „prawo o miastach”, wydaje się w stosunku do dawnego jego programu wolta, a nie rozszerzeniem jednego z istniejących wątków.

Postanowienia nobilitacyjne prawa o miastach uznane zostały przez autora za doniosłe, za wyraz „programu wytyczającego ewolucyjną drogę ku bardziej otwartemu społeczeństwu” (s. 204). Autor w szczególności zwraca uwagę, że „postanowienia prawa kwietniowego przemilczające całkowicie warunek posesoryjny 1775 r. [konieczność nabycia za pewną sumę dóbr ziemskich] bardziej zdawały się sprzyjać ambitnej lecz niezamożnej inteligencji mieszczańskiej niż program prawnego zrównania stanów montowany głównie w interesie miejskiej elity majątkowej”. Dalej zaś pisze: „Istnieje zresztą ogólna zgoda co do tego, że umożliwienie na taką skalę dopływu nowych sił do stanu szlacheckiego, traktowane w związku z całością konstytucyjnej reformy, zmieniało treść samej instytucji szlactwa, odcinając ją od sarmackiego zaplecza ideowego, a wiążąc z nowoczesnymi koncepcjami państwowej elity... Czyż można sobie wyobrazić, że wspólnota szlachecka pozostaje tym, czym była po nagłym wtargnięciu w jej skład, i w życie publiczne setek ludzi, częścią wykształconych, częścią bogatych, zawsze prawie aktywnych i dynamicznych. Ustawodawstwo Wielkiego Sejmu, poprzedzone głębokimi ruchami strukturalnymi i nawet tak jak zostało okrojone, otwierało przecież możliwości przyspieszonej, aczkolwiek nierewolucyjnej reorganizacji systemu więzi społecznych i układów solidarności... Rodziło się nowe pytanie zasadniczej natury: czy droga tej reorganizacji prowadzić będzie od praw szlachcica do praw człowieka, czy od praw szlachcica do praw właściciela... Architekci narodu właściciele apelowali do ziemskiego ekskluzywizmu. Zwolennikom rozwiązań bardziej demokratycznych miłsza była tradycja integryzmu i egalitaryzmu szlacheckiego i pierwiosnki plebejsko-szlacheckiego buntu... Ambiwalentny ustrój Trzeciego Maja zawierał jeszcze obydwa wyjścia. Drogowskaz prawa o sejmikach wskazywał raczej pierwsze, właścicielskie. Drogowskaz prawa o miastach celował niewyraźnie, ale nieco bardziej w stronę drugiego” (s. 204—207). Te interesujące i sugestywne twierdzenia, a dotyczące spraw bardzo istotnych skłaniają jednak niekiedy do postawienia znaków zapytania. Pierwszym, który się nasuwa, jest to, czy autor nie za mało elementów wziął pod uwagę, czy nie za bardzo ograniczył swe pole widzenia koncentrując się na kwestii nabycia i utraty szlactwa (to zawężenie, jak myślę, jest wynikiem zakresu rzeczowego, a zwłaszcza podstawy źródłowej drugiej części pracy). Autor programowo uchylił się „od szacunków demograficzno-statystycznych” (s. 9), nie próbując w tym zakresie powiedzieć czegoś nowego (o co nikt do niego nie może mieć pretensji), zbyt może radykalnie wyeliminował ze swych rozważań wszelkie liczby. Autor zapewne założył, że czytelnik orientuje się w arcy niedoskonałych danych, jakie w tym zakresie posiadamy. Gdy jednak mówi się o różnych kategoriach szlachty, czy mieszczan (posesjonatów, nieposesjonatów, owej dość mitycznej inteligencji mieszczańskiej), chciało by się operować jakimiś choć najbardziej przybliżonymi szacunkami liczbowymi. Jeśli podkreśla się znaczenie nobilitacji dziesiątek czy setek osób, to chyba trzeba uzmysłwić sobie, jaki procent, a raczej promil stanowili oni ogólnej liczby szlachty polskiej. Oczywiście sama ilość nie stanowi wszystkiego, ale czy dostatecznie znana jest jakoś owej nowo kreowanej szlachty czy też tych, którzy uzyskaliby dyplomy nobilitacyjne, gdyby prawo o miastach zdążyło w tej mierze wydać swoje rezultaty? Ile wśród mieszczaństwa polskiego było jednostek naprawdę wykształconych, bogatych, aktywnych, dynamicznych? Sarmackość zamierała, ale powodowały to czynniki niezależne od dopływu do szlachty nowych sił. Przy wzajemnym zbliżeniu stanów oddziaływanie miało charakter oczywiście dwustronny a strona szlachecka pod każdym względem była silniejsza. Ostoją sarmatyzmu była prowincja, a czyż można sobie wyobrazić, by nikły mieszczański aktywny na prowincji, któryby wskutek prawa o miastach został nobilitowany (chętnych nie brakło, jak świadczą dezyderaty zgromadzeń miejskich w dzieła wileńskiego) wpłynął na zmianę sytuacji? Raczej mieszczenie przyjmowałoby nawyki sarmackie. W sierpniu 1791 r. na wyborach miejskich w Łęczycy, gdzie

wyjątkowo nie wszystko poszło według odgórnej reżyserii, opozycjonista chciał zerwać obrady wołając: *Sisto iuramentum*. Miałbym też wątpliwości, czy warunki nobilitacyjne prawa o miastach miałyby bardziej sprzyjać „niezamożnej inteligencji mieszczańskiej” niż elicie majątkowej, dla której, jak sądzi autor, montowano zrównanie prawne posesjonatów miejskich i ziemskich. Którędy ci niezamożni (oczywiście jest to pojęcie dość względne) docisnąć by się mieli do klejnotu? Chyba nie jako plenipotenci miejscy, na pewno nie jako nabywcy wicsek, tudzież „zakładający rękodzieła i prowadzący handel z produktów krajowych”. Autor zasugerował się chyba tym, że nobilitowani mieli być oficerowie od sztabskapitana. Ale przecież przy ówczesnym systemie kupna szarż droga ta nie stała otworem dla ludzi niezamożnych. Zajmowanie nieco wyższych stanowisk w służbie cywilnej wymagało *pignus responsionis* w postaci własnego majątku lub poręki kogoś majątek taki posiadającego. Zresztą prawo mówiło o „regentach kancelarii w dykasteriach rządowych”, a ileż takich stanowisk było w całej Rzeczypospolitej? Te, które istniały, obsadzone były zapewne wyłącznie szlachtą, a ustrój 3 Maja bynajmniej nie zapowiadał jakiegś większej rozbudowy biurokracji.

Zakładane początkowo przez Kołłątaja szerokie prawa polityczne dla posesjonatów miejskich (którzy nawet po odłączeniu najbiedniejszych z zagrzyszowanych miasteczek, jak to projektował Kołłątaj, nie stanowili jakiegś elity majątkowej) stworzyłyby w najbliższych latach łatwe okręgi wyborcze, wysyłające na sejm z góry wyznaczonych kandydatów (zapewne o to głównie chodziło niektórym protektorom ruchu miejskiego), ale w dalszej przyszłości emancypowałyby i wyrobiłyby społecznie i politycznie mieszczan. Natomiast nobilitacje były, chyba świadomie pomyślanym, jednym ze środków skanalizowania ruchu mieszczańskiego w łożysko całkowicie kontrolowane przez szlachtę i dobitnym podkreśleniem tak bardzo akcentowanego w propagandzie obozu konstytucyjnego solidaryzmu i lojalności mieszczoan wobec wyższego stanu.

Nie można jednak identyfikować sprawy obalenia supremacji szlacheckiej czy sprawy interesów mieszczaństwa ze sprawą kształtowania jego patriotyzmu i lojalności wobec Rzeczypospolitej. W tym zakresie ustrój 3 Maja działał, jak wiadomo, bardzo dużo.

Dla porządku parę sprostowań w drobiazgach. Dziesięcioletnie kontrakty arendowe w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego dotyczyły kluczy i folwarków, a nie wójtostw (s. 42—43). Stanisław August dawał kilkudziesięcioletnie dzierżawy w ekonomicach dopiero w ostatnich latach panowania, starając się w ten sposób spłacać swe zobowiązania pieniężne (s. 49). Terminu „kollokator” nie można stosować, gdy mowa o czasach przedrozbiorowych (s. 180). „Dożywotni posesorzy” niesłusznie wymienieni zostali jako rodzaj drobnych posiadaczy (s. 24), mogli to być i latyfundiści. Przykład teatru jako miejsca „stanowej segregacji” (s. 82) jest o tyle nietrafny, że w cytowanym wypadku chodzi o teatr jeszcze nie publiczny (1748 r.), a właśnie w epoce stanisławowskiej teatr, stawszy się publicznym, był jednym z terenów obyczajowej integracji międzystanowej.

Prowadzona w recenzji dyskusja z autorem i propozycje pewnych korektur wynikają z poruszenia przez niego wielu ważnych i mało zbadanych zagadnień. Sam autor przyznaje w „Przedmowie”, że „niejeden sformułowany w tej książce sąd ma charakter hipotetyczny”, tę samą cechę mają i moje wywody. Ich polemiczny niekiedy ton w niczym nie zmienia pozytywnego sądu o pracy napisanej inteligentnie, z dużym krytycyzmem i zmysłem problematyki, pracy zawierającej wiele sądów oryginalnych, na ogół ostrożnie formułowanych i starających się być wynikiem wielostronnego spojrzenia. Jak najbardziej też należy namawiać autora do kontynuowania podjętej tematyki.

*

Rozległa problematyka przemian stanu szlacheckiego przekraczała możliwości badawcze Jerzego Jedlickiego także na odcinku XIX wieku. Było też dobrym jego prawem jako monografisty wybranie z odnośnego kompleksu zagadnień tych paru spraw, które zdawały mu się szczególnie warte i możliwe do przeanalizowania. Były to mianowicie: przemiany sytuacji szlachty w następstwie rozbiorów, polityka rządu konstytucyjnego Królestwa Polskiego w sprawach szlachectwa oraz podjęta za Paskiewicza próba restytucji przywileju szlacheckiego.

Najwięcej miejsca poświęcił autor temu ostatniemu zagadnieniu, mianowicie ukazowi carskiemu z 1836 r. i zarządzanej w nim procedurze legitymowania szlachectwa. W zastępstwie ogromnego zespołu akt Heroldii, który uległ zagładzie w czasie ostatniej wojny, autor wykorzystał około 60 woluminów akt Rady Stanu, Komisji Spraw Wewnętrznych i kancelarii marszałka szlachty guberni warszawskiej, związanych z omawianą procedurą. Uzupełniający i porównawczy materiał znalazłby zapewne w analogicznych aktach marszałka guberni lubelskiej, na których J. Willaume oparł swe studium z 1959 r. o marszałku Janie Jezierskim. Cwierzwiękowa historia Heroldii Królestwa Polskiego (1836—1861) może się zdać rzeczą marginesową w ówczesnych dziejach Królestwa. Autor umiał jednak pokazać na jej tle niektóre nieoczekiwane aspekty polityki polskiej caratu, a także zachowanie się różnych grup społeczeństwa polskiego wobec problemu przywilejów stanowych. Na pewno warto było przestudiować i opisać ten mało znany epizod, by móc go już później uwzględniać we wszelkich opracowaniach doby paskiewiczowskiej. Ujmując tę historię w wielkim skrócie, można powiedzieć, że góra porodziła mysz. Konserwatywna idea przywrócenia w Królestwie zachwianej struktury stanowej została zredukowana w samej literze ukazu. „Z 300-tysięcznej szlacheckiej rzeszy kazano wybrać niewielu, by im niewiele ofiarować” (s. 342). W praktyce zaś, o dostąpieniu do legitymacji decydował w wielkiej mierze przypadek. Im świeższe było szlachectwo, tym łatwiejsze na ogół było jego udowodnienie.

Omawiając tę partię książki Jedlickiego sygnalizuję tylko to główne osiągnięcie badawcze autora, związane z historią Heroldii. Chcę zaś dotknąć paru zagadnień związanych z okresem poprzednim, pomiędzy Sejmem Czteroletnim a dobą Paskiewicza. Autor potraktował ten okres bardziej szkicowo, nie wprowadzając nowego materiału źródłowego i przeplatając znane skądinąd sprawy jak zawsze bystrym i oryginalnym komentarzem. Zamierzając pisać w końcowej partii książki o Królestwie Kongresowym, skoncentrował się, poczynając od trzeciego rozbioru, na zaborze pruskim. Zubożyło to nieco ogólny tok wywodów: część pierwsza książki ma charakter ogólnopolski, natomiast po 1795 r. zacieśnia się do jednej dzielnicy. Tymczasem losy różnych grup szlacheckich i polityka władz zaborczych wobec szlachty zyskałyby znacznie na rozpatrzeniu w skali trójzaborowej. W istocie bowiem przywileje stanowe szlachty zakonserwowały się o wiele lepiej w zaborach austriackim i rosyjskim niż w pruskim. Dostyc przypomnieć galicyjski sejm stanowy z jednej, a szlachecki samorząd stanowy na „ziemiach zabranych” z drugiej strony. Również dyskryminacja zaściankowej i nieposiadającej szlachty dałaby się ukazać plastyczniej jeszcze na przykładzie rosyjskim niż pruskim.

Znany to fakt, że tempo naszej produkcji wydawniczej nie nadąża za postępem badań; i tak autor nie mógł już wykorzystać w recenzowanej książce kilku publikacji T. Mencla, odnoszących się do zgromadzeń wyborczych okresu Księstwa Warszawskiego i Królestwa; znalazłby w nich zaś nowe naświetlenie udziału w wyborach właśnie także uboższej szlachty. Szkoda również, że autor nie sięgnął do bogatych materiałów Ankiety włościańskiej z 1813 r., wyzyskanych ongi przez Korkor-Kiedroniową dla dziejów sprawy chłopskiej, ale przydatnych i dla niniejszego tematu. Na to zaś, by wyczerpać problem ewolucji poglądów na szlache-

otwo i przywilej szlachecki, należałoby się przegrzebać przez całą publicystykę powstania listopadowego i emigracyjną. Także w publikacjach krajowych doby paskiewiczowskiej znalazłby się, pomimo cenzury, materiał do tego tematu, jeżeli nie w warszawskich, to w poznańskich czasopismach.

Cytowany na s. 223 znany wywód F. Skarbka na temat polskich *homines novi* czytać trzeba na pewno w kontekście połowy XIX w., nie zaś początku stulecia. Za młodych lat Skarbak zapewne tak nie rozumował. Co jednak najbardziej zdumiewa w tej cytacie, to oskarżenie inteligencji polskiej, jako ludzi „bez poprzedników, bez pamięci na przeszłość narodową i oddanych obecnie panującym”. Boć przecie to, co najbardziej mogło niepokoić Skarbka, *anno* 1860, w tej „zgubnej” masie ludzi, to nie oddanie się „obecnie panującym”, ale właśnie rewolucyjne skłonności.

Bardzo trafnie zestawiał autor na s. 247 cztery nie pokrywające się ze sobą zakresy pojęcia „szlachta” w XIX w. — zakres własnościowy (obywatele ziemscy), genealogiczny (potomkowie rodzin szlacheckich), kulturowy (ludzie wierni obyczajowi szlacheckiemu) oraz prawny (szlachta wylegitymowana). Na tym się jednak sprawa nie zamyka. Warto prześledzić w publicystyce ówczesnej, jak pojęcie szlachty w niektórych wypadkach obejmuje także arystokrację, a nawet się z nią utożsamia („A ty zląkł się, syn szlachecki?”)¹ — to znów przeciwstawia poczciwą „szlachtę” jednowioskową — niepoczciwym arystokratom. A oto jeszcze jeden przykład z pamiętników Jakuba Gieyszтора (tom II, s. 26). Niejaka pani M., ziemianka z Augustowskiego dziwowała się w 1863 r., że na Litwie „idą do powstania synowie obywateli. U nas sama tylko szlachta bierze w nim udział. Na to żona moja oburzona odparła: nie wiedziałam, że bracia pani nie szlachta”. Ze świadectwa tego zdaje się wynikać, że w rejonach o dużej liczbie szlachty zaściankowej nazwa „szlachta” przyłgnęła do tej ostatniej grupy, natomiast właściciele ziemscy zaliczali się do „obywateli”, czyli do czegoś lepszego². Zresztą i wyraz „ziemiaństwo” ma wtedy swoje odcienie: w poemacie K. Koźmiana (por. aluzję na s. 265) ziemiaństwo oznacza nie tyle grupę społeczną, co zawód gospodarza na dużym warsztacie rolnym.

Dwukrotnie (s. 232, 332) wspomina autor o skasowaniu jurysdykcji „patrymonialnej”, czy też „dworskiej” pod rządami pruskimi i o jej braku w Królestwie. Nie jest to ściśle, w świetle znanego „dekretu o wójtach” z 1818 r. Z chwilą gdy funkcję wójta pełnił z samego prawa dziedzic, lub jego urzędnik, przysługiwało mu także określone *quantum* władzy policyjno-sądowej nad chłopem. Z prawnego punktu widzenia była to władza poruczona; w praktyce nie różniła się tak bardzo od dominialnej.

Garść powyższych refleksji świadczy głównie o zainteresowaniu, jakie wzbudziła we mnie czytana książka. Zachęca ona do dalszych rozmyślań, do pogłębienia tematu, do poszukiwania analogii. Główne jej tezy zdają się oczywiste. Nie zapominajmy, że stały się nam oczywiste dzięki inwencji i pomysłowości autora.

¹ Por. tytuł książki Grabca o Wielopolskim: *Ostatni szlachcic*. Wystąpienia publicystyczne Wielopolskiego, związane z jego procesami o ordynację, też dostarczyłyby autorowi materiału ilustracyjnego.

² Latem 1863 r. Wydział Wykonawczy na Rusi ogłosił pod nagłówkiem „Bracia szlachta” odezwę skierowaną, jak wynika z treści, do polskiej szlachty czynszowej na Ukrainie. Wymawia jej, „że na wiosnę, jak tutaj zrobiło się powstanie, nie posłicie z innymi, przez co nas także nieszczęście spotkało, że chłopci zabijali, wiązali i na powrozach wodzili obywateli i paniczów”. Por. *Dokumenty Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego*, Wrocław 1968, s. 549. Również w tym wypadku termin „szlachta” obejmuje zaścianki, a wyłącza właścicieli ziemskich.